

Alfred Kohn

Pegaz złagodniał



**PEGAZ
ZŁAGODNIAŁ**

ALFRED KOHN

**PEGAZ
ZŁAGODNIAŁ**

OSTROŁĘKA 1986

Redaktor

Wojciech Woźniak

Opracowanie techniczne

Andrzej Zecer

Projekt okładki

Zenon Kowalczyk

11.

Wydawca:

Klub Literacki „Narew”

w Ostrołęce

przy Oddziale Warszawskim ZLP

Druk S.I. Ostrołęka

zam. 2488/86 nakł. 260

w tym 60 numerowanych

P-105

Cena 50 zł

...

coraz mniej
prawdziwych poetów
pegaz złagodniał
nie zrzuca
z grzbietu
przypadkowych
jeźdźców

Moja poezja

moja poezja
nie jest rewolucyjna
nie zawiera w sobie
określonych tendencji
nie idzie w wyznaczonym kierunku
nie jest za
nie jest przeciw
w politycznej walce
nie drwi ze słabych
nie ulega silnym

to listy
pisane do siebie

Teatr

Nie zdejmuj maski

w czasie przedstawienia
może się okazać
że nie poznają cię przyjaciele
i przejdą obojętnie

a jeśli staniesz im na drodze
żeby wytłumaczyć swój gest
oplują pogardą twoją godność
zadrwią ze słów
zostaniesz sam

nie zdejmuj maski
w czasie przedstawienia
dla nich może oznaczać
że rezygnujesz z powierzonej roli

...

wczoraj

widziałem egzekucję

biczowano

człowieka wyzwiskami

fanatycy temidy

wykonali wyrok —

kule szyderstw

przebiły mu

serce

kiedy opadły emocje

w powietrzu

zawisł ogromny

znak zapytania

...

teraz
chodząc
miastem

nie patrzę ludziom w oczy

spoglądam w ziemię
albo idę z abstrakcją myśli
w wyznaczonym kierunku

żeby nie ujrzeć
więcej jadowitego
węża

...

odkąd
zdradził przyjaciela
za garść obietnic

toczy pojedynek z sumieniem

uderza na oślep
ciosami
argumentów
o potrzebie chwili
spełnieniu
historycznej roli

czasami udaje mu się
przymroczyć przeciwnika
(na chwilę)

zazwyczaj jest nokautowany
wtedy nie może
zasnąć
aż po blady świt

Gość

przyszedł do mnie
usiadł w fotelu
zapalił papierosa
zakasłał pewnością siebie
popatrzył na książki
– obywatel
to wszystko czyta
zapytał
tak
odpowiedziałem
pokiwał głową na znak zdziwienia
z kieszeni wyjął cyrograf
kazał go podpisać
moją dumą
kiedy tego nie zrobiłem
wyszedł oburzony
zostawiając zapach
skórzanego płaszcza

W separatce

nie ma tu nikogo
kto by wyciągnął do mnie rękę

nie ma tu nikogo
kto by pocieszył mnie choć chwilę

jest tylko cisza
przypisana czterem ścianom
zepsuty zegar
który jej nie rani
szafka
a na niej zwiędłe kwiaty
które drażą
we mnie
studnię strachu

...

długie

bolesne

bezsenne noce

bękarty życia

postrachy sumień

(wędrowki po mieszkaniu

stanie u okna

hausty mocnej kawy

halucynacje myśli

dla oszukania samotności)

zakorzenione we wnie

do granic cierpienia

matko łaski pełna królowo rodziny
w koronie zmartwienia chodzisz po mieszkaniu
zgarbiona jak topola sprzed naszego domu
samotna zmęczona w swoim królowaniu

pokorna jak morze gdy Pan skinął ręką
otwarta jak drzwi na przestrzał szeroko

...

pewny że jesteś wchodzę nawet w ciemność

...

A.S.

jestem sam

Dulcynea odeszła i pewnie nie wróci

trzasnęły za nią drzwi ostatni akt

skończył się długim milczeniem

opadła kurtyna nie słysząc braw

miało być tak hucznie widzów pełna sala

w głównej roli my zasłuchani w siebie

...

jeszcze wierzę uparcie że to tylko antrakt

przed nowym triumfalnym powrotem na scenę

...

jeszcze żyje we mnie strach niepojęty
budzę się nocami cały mokry od potu
jeszcze chodzę jak pies z podkulonym ogonem
w nadarzającej się chwili do ucieczki gotów

jeszcze boję się ciszy która drzemie w pokoju
jak nóż zatopiony w sercu żyjącego drzewa

...

te sosny na wpół nieme jak ludzie umarli
patrzą w okno a w dali jezioro szumi rapsod

Wszystko miłość

jakby przed chwilą Pan Bóg ich stworzył
i kazał się miłować
leżą w stodole na sianie
czyniąc powinność wedle Jego rozkazu

on zagłębia się w jej ciało powoli delikatnie
jak ptak wzlatuje w niebo i opada cicho
ona kąpie swe dłonie w jego czarnej grzywie
i całuje usta gdy zbliżą się do niej

słońce podgląda ich przez szpary
wyschniętych desek

...

nie ma tego sadu
gdzie szło się
z chłopakami
zrywać ciężki owoc

maszyny zryły ziemię
ścięto drzewa

posmutniał krajobraz
środkiem
czarną wstęgą
płyną samochody

z okna
na czwartym piętrze
patrzę na swe dzieciństwo

z tej wysokości
zaciera się obraz

W poczekalni dworca PKS

pijany mężczyzna
wymachuje
ostentacyjnie
pustą butelką

za płotem
wypił z niej odwagę

garstka młodych ludzi
udających hipisów
pali sporta pokoju

kobieta
kołysze wózek
wypełniony po brzegi
płaczem

za oknem
obrzydliwie brudne
autobusy
wywożą z miasta tych
co przyjechali spełnić
codzienną misję

...
w naszym kiblu
muchy atakują jak ptaki
na filmie hitchcocka
tysiące
białych robaków
pastwi się nad naszymi odchodami
sąsiadka mówi

kurwa
marzy mi się chwila
kiedy siądę na własnym
porce!anowym sedesie
chyba ze szczęścia
zdrzemnę się na chwilę

Moje miasto

zasypia powoli
zmęczone upalnym dniem
w labiryncie ulic
jeszcze widać
błądzących kochanków
bezwstydnie
wyznających sobie miłość
pod okaleczonym światłem
pożydowskim domem
jeszcze ktoś
w przerwany snie
jednym dotknięciem ręki
na chwilę kaleczy ciemność
ale już coraz wyraźniej
słyszać tętno
nabrzmiącej snem ziemi

Alfred Kohn urodził się w roku 1960. Mieszka w Makowie Mazowieckim, gdzie pracuje w Rejonowym Ośrodku Kultury. Wiersze swoje drukował w Tygodniku Ostrołęckim, Radarze, Zielonym Sztandarze i Gazecie Olsztyńskiej. Zdobywał nagrody i wyróżnienia w ogólnopolskich konkursach poetyckich. Zbiorek wierszy „Pegaz złagodniał” jest jego debiutem książkowym.

